

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

WARSZAWA, ŚRODA 2 LISTOPADA 1927 ROKU № 9

PILOMYI

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży.

WYDAWNICTWA ROK DWUNASTY.



MUZEA SZKOLNE.

24. SZKOŁA POWSZ. W JACIUNACH, P. RADUŃ, POW. LIDZKI, prosi szkoły w Gdyni, Gnieźnie i Krakowie o *widokówki*.

(Przypominamy, że ci nasi Czytelnicy, którzy zainteresowali się sprawą muzeów szkolnych, znajdują szczegóły i adresy w Nr. Nr. 1, 3, 5, 8.

LISTY OD REDAKCJI.

DO MARYSI I HALINKI ŚWINARSKIEJ W JABLONOWIE. Czy już „Płomyk” otrzymujecie? Mówiliśmy z naszą administracją o Waszym żalu.

DO STASI MATYSIAKÓWNY WE WŁOSZAKOWICACH. Obecnie drukujemy „Płomyka” i „Płomyczka” około 30.000 egzemplarzy, dużo więc dzieci, a jeszcze więcej szkół abonuje „Płomyk”. Czy sadziliście morwy z myślą o hodowli jedwabników? Czy wiecie, że morwa lubi suche miejsca, słońce i żyzny grunt? Jest wiele gatunków morwy: jest *morwa biała* o liściach okrągławych, po brzegach ząbkowanych, pod spodem omszonych; *morwa czarna* o liściach z obu stron szorstkich. Pierwsza ma owoce białe lub żółtawe, druga fioletowo-czarne. Jest też *morwa filipińska*, którą od niedawna (od r. 1820) hoduje się w Europie Południowej. Jest jeszcze *morwa czerwona*, *indyjska*.

DO DZIECI KL. VII SZKOŁY POWSZ. Nr. 1 W ALEKSANDROWIE KUJAWSKIM. Tak, w wielu szkołach są samorządy. Naturalnie, że i w szkołach warszawskich. O dalsze listy prosimy bardzo.

DO MARJI WYSOCKIEJ W TORUNIU. Fotografje ze Starachowic, które nam przysłałaś, są bardzo ciekawe. Ileż tam wielkich budynków wyrosło w przeciągu krótkiego czasu: kilku lat zaledwie. Zaciekało nas to, że nad dachami wyrasta jeden tylko komin fabryczny, a przecież Starachowice to miejscowość fabryczna.

DO WANDZI WODNICKIEJ I JURKA LUDKIEWICZA W MILEWKU. Rysunki do „Wesołej Gromady” robi p. E. Bartłomiejczyk, znany ze swych prac nie tylko w Polsce, ale i zagranicą.

DO LEOPOLDA WEISBERGERA W MSZANIE DOLNEJ. Chętnie przeczytaliśmy opis okolicy, opracowany przez Ciebie.

DO P. H. GODEK W KIELCACH. Adres P. St. Kos. Warszawa, Hoża 88.

DO EGUNJUSZA GRYMKA W KRÓLOWYM MÓSCIE. Twemu życzeniu stanie się zadość: właśnie w roku bieżącym do „Płomyka” będziemy dodawali obrazki treści historycznej. Obrazki te są robione specjalnym sposobem t. zw. rotograviurowym w „Drukarni Narodowej” w Krakowie. Z fotografii przenosi się obrazek na miedziane wale, trawi się odpowiednio kwasami i odbija na specjalnych maszynach. W tym roku wkładanie obrazków jest opóźnione, ale już niedługo zaczniecie je otrzymywać.

DO KAZIUTKI MIEDZIEJEWSKIEJ W CHRZANOWIE. Czekamy na opis pobytu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w Chrzanowie. Jak odbyła się Krysi przemowa? Do pisania ołówkiem, czy piórem nie przywiązujemy wielkiej wagi. O tyle lepiej pisać piórem, że pismo jest wyraźniejsze i łatwiej je odczytać.

DO WITOLDA KACZMAREWICZA W BRZĘSCIU NAD BUGIEM. Dlaczego nasze pismo nazywa się „Płomykiem”? Wiele dzieci w listach do nas starało się to wytłumaczyć. Zrób to i Ty i napisz nam. Jesteśmy bardzo ciekawi, jak sobie wytłumaczysz nazwę „Płomyka”.

DO BRONKA DĄBROWSKIEGO W KASZCZORKU. Życzymy Ci wyzdrowienia. Zrobić samemu narty jest dość trudno.

DO DZIECI SZKOŁY POWSZ. W CHORZELACH. „Płomyk” zbiera ofiary na budowę szkoły w Gdyni, Waszą więc ofiarę przestaliśmy redakcji pisma „Lot”, poświęconemu obronie powietrznej państwa.

DO ZBIGNIEWA WIERZBICKIEGO W RĘCZAJACH. Co słyhać z Waszą biblioteczką szkolną? Czy dużo już w niej książek?

DO HALINKI SKAŁSKIEJ. Pewnie przez całe wakacje miałaś wiele czytania: tyle przed wakacjami zebrali Ci się nieczytanych z powodu choroby „Płomyków”. Napisz jeszcze do nas.

DO EDMUNDA STOLARSKIEGO W JASZCZERZU. Twój wierszyk jest słaby: jest nieumiejętnie napisany. Narazie daj pokój wierszom.

DO JÓZIA RUTKOWSKIEGO W ŻOŁWINIU. Napisz do nas, Józiu, list o sobie, o swych kolegach, Waszej szkole. Pozdrów od nas P. Nauczycielkę.

PLEMYŃ

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Powązki.



Fot. J. Ryś.

POWĄZKI: KWATERA OBRONCÓW LWOWA.

Za dawnych czasów Powązki były osadą, sięgającą przedhistorycznej epoki, czego dowodziły liczne uroczyska, istniejące tutaj jeszcze w XVIII-stem stuleciu; potem zaś były wsią rządową.

W historii występują Powązki po raz pierwszy w r. 1408, za panowania Księcia Janusza Mazowieckiego, który w jednym ze swych przywilejów wspomina o Powązkach. Tutaj, w lasach księżęta a później królowie polscy urządzali polowania i mieli dwór myśliwski.

Później część Powązek oddano na własność szpitala Marcinkanek, część była w posiadaniu różnych osób, a między innymi i książąt Czartoryskich, którzy zamienili je na miejsce swych zabaw, urządzanych z takim przepychem, że pisano o tem poematy. Cały ówczesny świat arystokracji polskiej tłumnie odwiedzał to miejsce rozrywek, bawiąc się tu, tańcząc i uczując.

Takim był stan Powązek przez lat kilka.

Pierwszą myśl założenia cmentarza za miastem winniśmy zgromadzeniu księży Misjonarzy, którzy bacząc, że stolica Rzeczypospolitej coraz się rozszerza, a pomór częściej nawiedzać ją począł, chowanie zaś ciał zmarłych w obrębie miasta sprzyja zarazie, poczęli w r. 1745 przysposabiać materiały do budowy nowego cmentarza.

W ciągu stukilkudziesięcioletniego istnienia cmentarz był kilkakrotnie powiększany. Obecnie jest bardzo rozległy, otoczony murem, bram wchodowych ma pięć. Przy cmentarzu znajduje się kościół św. Karola, ma godny widzenia obraz w wielkim ołtarzu, wyobrażający u góry św. Karola, a u spodu zdarzenie ostatniego króla, Stanisława Augusta, z Kuźmą, który go ocalił przed konfederatami, chcącymi króla porwać i wywieźć z Polski. Kościół ten i obraz dlatego się tam znajdują, że zdarzenie to z królem stało się w pobliżu Powązek.

Cmentarz powązkowski mieści niezliczoną liczbę pomników grobowych; są między nimi piękne dzieła sztuki: murowane, wyrobione z marmuru, piaskowca i lane z żelaza.

Dłuta znakomitych rzeźbiarzy miejscowych dostarczyły tu prac niemało. Są tu pomniki, rzeźbione przez Malińskiego, Tatarkiewicza, Pruszyńskiego i wielu innych. Zwraca uwagę pomnik muzyka, Aleksandra Janickiego, przedstawiający niewiastę płaczącą, opartą o drzewo na wpół ścięte. Oglądanie dzieł sztuki na cmentarzu daje dużo artystycznego zadowolenia, a jest tych dzieł bardzo wiele, z każdym rokiem więcej. Szczególną uwagę zwraca kwatery z grobami obrońców Lwowa.

Choć Powązki nie posiadają pierwszorzędnych słońc Wawelu i Skałki w Krakowie, jakże mocno i żywo uderza serce na dźwięk imion: Kiliński, Malczewski, Kołłątaj, Komorowski, Moniuszko, Godebski, Kornarski, Elsner, Dygasiński, Prus, Gloger i tysiące innych, a każde drogie, każde blaskiem miłości, czynu, genjuszu opromienione... wiele z nich nawet ze świętym nimbem męczeństwa za najwyższe, najświętsze Ideały...

Powązki! Czyż nie drgnie dusza polska na ten dźwięk, mieszczący w sobie tyle serdecznego bólu, lecz i chwały nieśmiertelnej zarazem?

A cmentarz Bródzieński?

Słynny nasz uczonek, Pawiński, dowodzi, że nazwa tej miejscowości Bródno, Brodno pochodzi od „brodzić” a więc od brodu, który niegdyś przez dawne koryto Wisły, tutaj wówczas się znajdujące, prowadził. Piaszczyste więc te wydmy, które dzisiaj widzimy i gdzie zmarłych grzebiemy, były w czasach przedhistorycznych, jak to badania naukowe wykazują, dnem królowej rzek naszych. Wisła tutaj przed wiekami płynęła, a płytkość jej nurtów w owym miejscu pozwalała przebyć ją na drugą stronę, kędy szumiała niezbrodzona puszcza z małymi polanami i zaczątkami teraźniejszej Warszawy.

Bródno, odległe o milę od Warszawy, pamiętne jest stoczoną tu w r. 1656-ym bitwą, w której z jednej strony król nasz, Jan Kazimierz, a z drugiej król szwedzki, Gustaw Karol, i elektor brandenburski osobiście walczyli i która po trzech dniach skończyła się klęską Jana Kazimierza.

Stefanja Ottowa.



Mal. A. Orłowski.

R Y C E R Z.

Na górskiem cmentarzysku.

Idzie nad światem żalną falą wspominków szept pacierzy...
Z jesienną wonią kwiatów, z płomykami świateł ulatuje tęsknota serdeczna za tymi, co odeszli...

Wśród ubożuchnych wiejskich cmentarzyków chwieją się w wietrze światełka, na zapomniane, nieznane mogiły rzuca czyjaś dłoń wiązanek świerkową lub głogu gałązkę.

Jest jedno cmentarzysko dalekie, żadnym nie otoczone murem, żadnym dziś światłem nieznaczone a tak wspaniałe i wstrząsające w samotności swej na szczytach!...

Karpaty wschodnie! Linja strasznych bojów z przed lat niedawnych — z wielkiej wojny. Iluż wojaków śpi w skalnych grotach kamiennego szlaku, gdzie zmagaly się ludy w krwawych walkach!

Pośród rumowisk, na przełęczach, na poszarpanych grzbietach, w beładnem spiętrzeniu olbrzymich głazów — krzyżyki, dwa, trzy, pochylone ku sobie, zczerniałe w nawałnicach, odległe od wszystkiego, co ludzkie, poza czasem i wspomnieniem.

Czasami samotny, maleńki krzyżyk gdzieś na dnie rozpadliny ledwo widoczny — znak, że ktoś tu cierpiał, ginął w męce, krwawił ranami, zmagał się, póki go nie utuliła śmierć na wieczny sen. I tak wszędzie ciągną się te mogiłki przez pasmo Gorgan hen, przez Czarnohorę ku Rumunji.

W chmurny dzień, ku jesieni, gdy mgły się po górach rozścielają, ogarnia w tej głuszy uczucie niewymownego smutku i posępnej grozy. Wędruje się godzinami górską granią, wśród rumowiska, złomów skalnych i kamiennych bloków. Naokół wojenne schrony, ziemianki, niekiedy doskonale zachowane, zasieki, druty kolczaste, głębokie wyrwy od pocisków, wyraźne jeszcze pozycje dział, okopy strzeleckie; znajduje się puste naboje, sprzączki od pasów. Przez rozwalone okienka strzelnic świszczce przejmująco wicher i gna tunany mgły.

Przewalają się bure skłębione masy, w szaro żółtej poświacie majaczą ciemne ramiona krzyżów...

Chwilami rzedną chmury, wiatr zwiewa ze skalnych urwisk welonny mgły, prześwieca gdzieś jaśniej skrawek nieba.

Ale znowu nadciąga wichura i zatapia wszystko w mokrym тумanie, owija w całun niepamięci wspomnienia bojów, trudów, walk, męki, nienawiści i ziemskich swarów...

Śpią polskie żołnierzyki, i puszt węgierskich synowie, i tyrolscy pasterze, i dalmatyńscy rybacy, i przybysze z Kaukazu, z Uralu, z Syberji dalekiej — zasnęli wrogowie pospołu...

Nagle opada zasłona mgieł: słońce!

Pierzchają mary i widma. Płyną u stóp srebrzyste chmury coraz niżej; ziemia, w której istnienie przestało się wierzyć, ukazuje się zachwyconym oczom cudna, pokryta aksamitem lasów, najeżona zielonemi czubami; rozszerza się widnokrąg, błękitniejszą odległe pagóry...

Hen, w dole zostały królewskie limby, smreki brodate, i ciemna

kosodrzewina i brusznic gąszcze — tu mchy już tylko dziwne, czerwone, żółte i białe, jakby zwarzone mrozem i wirchy, co się nagle w słońcu przystroiły precudną zielenią! To porosty, które łudzą świeżością wiosennej runi! Przegania wiatr chmury, odślania doliny zielone, rozplynęły się mgły, jak zły sen!

W przeczystym błękicie zawisnął orzeł...

Wzleciał radośnie ponad wolną ziemię...

Na pochyłone krzyżyki łagodnie, litościwie splywa słoneczne złoto...

T. Zubrzycka



Mal. J. Rapacki.

Rozstajne drogi.

*Oj, wy drogi nieznane, oj, rozstajne wy dróżki,
którą obrać z was mają sierotańki tej nóżki?
Czy tę, słonko skąd wschodzi, czy gdzie zachód we złocie ---
którą, którą podążyć tej niebogiej sierocie?*

*Nad tą drogą rozstajną ktoś ci czuwa od wieka:
Pan Jezusek maleńki, wzięwszy postać człowieka,
z kapliczuchny drewnianej, popróchniałej z starości
poznał ludzką niedolę, poznał ludzkie radości.
Idź do Niego, sieroto, On ci drogę pokaże:
Chrystus, co nad rozstajem od wiek wieków ma strażę.*

— Jezusiczku maleńki, Tyś opiekun sierocy,
spójrz też na mnie z kapliczki, udziel-że mi pomocy.
Takiś smutny, zgarbiony, masz cierniową koronę!
Pokaż, pokaż sierocie, w którą dążyć mi stronę?
— Oj, nie frasuj się, mała, każda droga dla ciebie,
gdzie złociste słoneczko chodzi jeno po niebie.
Czy — gdzie zorza poranna, czy — gdzie zachód lśni złoty,
nie opuści Pan Jezus niebożuchnej sieroty.

*I podniosła sierota oczy w jasne niebiosy.
Poszli wespół: Jezusek i sierotka ta bosa.*

Marja Kownacka.

Wielka Prawda.

Baśń Kirgiska.

Jechał dzielny junak pustym stepem. Patrzy... aż tu na uboczu tli się dogasające ognisko. Na żarzących się węglach wiję się i syczy z bólu żmija.

Ujrzała żmija junaka i prosi go: — Ratuj mnie!

Żal zrobiło się junakowi żmii: wetknął w dogasający żar koniec swej długiej dzidy. Żmija wpełzła na dzidę, z dzidy na rękę, z ręki na ramię i, otoczywszy szyję junaka, zaczęła go dławić.

Zdumiał się biedny junak, widząc taką niewdzięczność i spytał:

— Za co? Przecież ci życie uratowałem?...

— Tak czynią na świecie wszyscy, — odpowiedziała żmija — za dobre trzeba płacić złem!

— Kłamiesz, żmijo! — krzyknął dławiony junak. — To ty tylko złem za dobre płacisz! Na świecie wszyscy żyją sprawiedliwie!

— Niema na ziemi prawdy! — powtarza znów swoje żmija i jeszcze mocniej, jeszcze ciaśniej owija się wokoło szyi junaka.

— Czekajże-no, gadzino! Nie zabijaj mnie jeszcze! — woła junak. — Chcesz? spytajmy trzech pierwszych, napotkanych tu w stepie, kto z nas ma słuszność, ty czy ja? A jeśli wszyscy powiedzą tak, jak ty, wtedy możesz mnie udusić.

Żmija zgodziła się.

Pomknął junak na koniu w głąb stepu z duszącą go żmiją na szyi. Wkrótce przeciął im drogę czysty, przejrzysty, jak szkło, strumień.

— Strumyku! — przemówił doń junak — rozstrzygnij nasz spór!

I powtórzył strumykowi całą swą rozmowę ze żmiją.

— Dobrze mówi żmija! — powiedział strumyk. — Niema na świecie sprawiedliwości i wszyscy płacą złem za dobre. Czyż ze mną postępują inaczej? Wszyscy korzystają z mojej czystej, chłodnej wody. Poję ludzi, poję całe stada koni i wielbłądów. W gorący, letni dzień gaszę palące ich pragnienie. Beze mnie śmierć ich czeka. I jakżeż płacą mi za to? Tem chyba, że zaśmiecają moje jasne, czyste wody!..

— Otóż widzisz, że dobrze mówiłam! — zasyczała żmija i mocniej owinęła się wokoło szyi junaka.

Spiął konia junak i pomknął dalej.

Wkrótce ujrzeli na swej drodze cieniastą, samotnie stojącą topolę i ku niej skierował junak konia.

— Topolo! — powiedział — rozstrzygnij nasz spór!

I opowiedział jej o swym sporze ze żmiją.

— Dobrze mówi żmija! — powiedziała topola. — Niema na świecie sprawiedliwości i wszyscy płacą złem za dobre. Czyż ze mną postępują inaczej? W palącą spiekotę każdemu daję schronienie. Wędrowcy odpoczywają w cieniu mych gałęzi. I czemuż płacą mi za moją gościnność? Obrywają me liście, łamią moje gałęzie, ogniska z nich palą, obdzierają ze mnie korę. Ścieli już wszystkie moje siostry, które obok mnie rosły, a wkrótce zetną i mnie.

— Otóż widzisz, że dobrze mówiłam! — zasyczała żmija i jeszcze mocniej owinęła się wokoło szyi junaka.

Spiął junak konia i pomknął dalej.

Akurat wtedy ukazał się szakal.

— Szakalu! — krzyknął dławiący się już junak — zakończ nasz spór! — I opowiedział szakalowi wszystko, co zaszło.

Uważnie wysłuchał szakal i mówi tak:

— Abym mógł sprawiedliwie rozsądzić was, muszę na własne oczy zobaczyć, czy rzeczywiście wszystko to tak było, jak opowiadasz. Pokażcie więc, jak się to odbyło od samego początku.

Junak spuścił dzidę ku ziemi, żmija spelzła na piasek. Zobaczywszy to, szakal krzyknął do junaka:

— Na co czekasz? Wróg jest u twych stóp. Prędeż-że przebij żmiję dzidą, lub rozdepcz ją kopytami swego konia!

— O nie, tego nie uczynię! — odpowiedział junak. A zwróciwszy się do żmii, rzekł:

— Żyj oto i zapamiętaj sobie, że istnieje najwyższa prawda, na której świat się opiera. A prawda ta głosi: „Płać dobrem za złe!”

Rzekł i, spiąwszy konia, pomknął dalej w step.

Według oryginału rosyjskiego opracowała St. Baczyńska.

Czy Ty wiesz?...

*Czy Ty wiesz, najmilsze dziecię,
ile smutku jest na świecie,
ile cierpień mgły?*

*I że Ty — dziecina tylko —
jedną, pełną serca chwilką
możesz otrzeć łzy?*



Malował Vlastimil Hofmann.

Jeno niech Ci z piersi wzleci
prośba, co jak brylant świeci,
za niedoli jęk...

Tę modlitwę w nocnej ciszy
Pan w niebiosach rad

postyszy,

jako cudny dźwięk!..

Módl się więc gorąco, wiernie,
za tych, którym ostre ciernie
poraniły skroń...

Za tych, co się snują w głuszy,
co ból wielki mają w duszy,
a bezsilną dłoń...

Za tych, którzy z woli nieba
smutni są, nie mają chleba,
nędzy patrzą w twarz...

Za tych, którym łzy wciąż

plyną,

za nieszczęsnych zmów,

dziecino,

codzien: „Ojczy nasz!..”

H. MIESZKOWSKA.

W jesienny wieczór.

Napisał K. Konarski.



KMICIC, ZBYSZKO I ZAGŁOBA.

W dużym tomie „Krzyżaków” zaszeleściły kartki i nagle z pod grubej, w skórę oprawnej okładki ukazała się smukła postać rycerska. Nie miał ów rycerz pancerza na sobie, jeno kubrak skórzany z powyciskanemi śladami zbroi i siatkę na głowie, miasto czapki. Oczy przetarł, ziewnął, przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały w stawach, poczem, obróciwszy się na pięcie, ruszył sprężystym, młodym krokiem ku drugiemu końcowi półki, gdzie widać było zdaleka złożone na grzbietach książek tytuły „Potopu”. Zbyszko, on to był bowiem, nachylił się nad jednym z tomów i, przysłaniając usta ręką, rzekł półgłosem:

— Panie Andrzeju!

— A co tam? — mruknął z głębi tomu gniewny nieco głos.

— Mości Panie, proszę na słowo.

— Co Waćpanu przyszło do głowy wałęsać się po izbie? — rzekł pan Andrzej Kmicic, chorąży orszański, dopinając pasa i szamocząc się z szablą, która mu się między karty książki zaplątała. — Pali się, czy co, że Waść alarmy czynisz? A do krocset z tą szablą, nie wypłaczę jej dziś, czy jak?

— Palić, to się tam nic nie pali, ale nudno! Już nie mogłem strzyrać. Dziś niedziela, nikogo w domu niema, cały wieczór będziemy sami, nie możnaby tak towarzyszy skrzyknąć i koła rycerskiego zatoczyć?

— Że nudno, to nudno, temu negować nie mogę. Już i sam z nu-

dów zdrzemnąłem się, czegom nigdy dawniej nie zwykł był praktykować. Zaszedłem po obiedzie do księdza Robaka na kieliszek wina i partję marjasza, ale mnie zmorzyło. Nudno. A o tem kole, co Waśc prawiśz, to może i grzeczna myśl. Trzebaby Zagłobę wyciągnąć, bo bez niego nijakiej ochoty nie będzie. Czekaj Waszmość... Wiesz co, zajmij się stołami, a ja mego Sorokę pchnę do Pana Chryzostoma, to w on mig larum zrobi i komilitonów¹⁾ wszystkich pościąga.

Jakoż po chwili ruch się zrobił w zacisznej biblioteczej salce starego dworu.

Zbyszko, skrzyknąwszy kilkunastu pacholków, ustawiał stoły i ławy. Znalazły się wnet i szklenice i beczułki z winem i miodem, osobny sędziwy gąsiorek dębniaku czekał na zwykłym miejscu na Pana Zagłobę. Dogasające jesienne słońce rzucało ostatnie blaski na długie szeregi książek, stojące na półce sztywno i nieruchomo, niczem niemiecki pieszy regiment na paradzie. Od kominka, na którym dopalały się głownie, płynął powiew rozgrzanego, pachnącego żywicą powietrza.

Dokoła ław poczęli się snuć goście. Pierwsi przyszli, ujawszy się pod rękę, czterej bracia Bukojemscy, chłopcy na schwał morowe, jeden w drugiego, ale i zawalidrogci setne. Gwaru i wrzawy narobili za dziesięciu, zwłaszcza, że sekundował im godnie donośnym, piskliwym swym głosem, niedawny, ale całem sercem oddany im przyjaciel, pucołowaty Pan Rzędzian z Wąsoszy. Potem przyszedł, zataczając się z dziebko, Imci Pan Jan Chryzostom z Gosławic Pasek, też prowadząc się pod rękę, a raczej ułapiwszy się z całej siły za rękę Pana Zagłoby. Pokochali się oni okrutnie, wspólnego przyjaciela w gąsiorku spenetrowawszy tak, że już bez nich żadna rzetelna wypitka obyć się nie mogła, i nawet powiadali ludzie o Panu Zagłobie, że dla nowej przyjaźni i starych przyjaciół gotów był niekiedy przepomnieć.

— Swój do swego ciągnie, mój Jasiu, — mawiał Zagłoba Panu Paskowi. — Obaśmy Jany, oba Złotousty, ty z chrztu, ja z reputacji, ile że, jak ci wiadomo, języka w gębie po próżnicy nie obracam. Ja tam zresztą złoto wołę w kieszeni, a w gębie miód, byle dobry i byle w zacnej kompanji, o którą dziś coraz trudniej, kiedy to na dziesięciu szlachty dziewięciu się guzikiem pieczętuje. Na psy świat schodzi, Jasiu Chryzostomie, vulgo Złotousty! Zagłoba ci to mówi.

Wiara schodziła się coraz tłumniej. Zdała już widać było płową czuprynę pana Andrzeja, jak się chwiała w powietrzu, niczem płomień na wietrze, ile że ogniście coś panu Charłampowi perorował, który swym wielkim nosem, jak buławą, wszystkiemu zgodnie przytakiwał. Skrzetuskiego wzięli między siebie księża Robak i Kordecki, uczone jakieś, a zawzięte dyskursa ze sobą toczący.

Nie brakło ni błękitnego rycerza z pod Chocimia, ni Olbrachtowych rycerzy, a nawet i mały Janek, co pod Raszynem pierwszy Księcia Józefa przed Austryjakami ostrzegł, nawet i ten zaszczytu dziś dostąpił, że go do starszych grona dopuszczono.

Górował nad tłumem ogromnym swym stosowanym kapeluszem

¹⁾ Towarzyszy.

porucznik Piotr Wysocki, stojący samotnie na uboczu, z swą dziwną, szlachetną, ale jakby niezdolną do uśmiechu twarzą; górował urodą, nawet wśród ułanów, roześmiany, z roziskrzonymi oczyma pół rycerz, pół pacholę — pan Tadeusz Soplica.

Ubiorów, strojów, zbroi rozmaitość niezmierną. Tu kozuch barani, tam nowiutki ułański mundur, tu wyszarzana kurta leguna z pierwszej brygady, owdzie pancerz, skrzydła husarskie, lub wypłowiałe barwy wiśniowieczyków. Ten w pełnej zbroi, ów w szyzaku tylko, ten przy szabli, tamten z jedną trzcinką w rękę. Do wygasającego na kominku ognia garnęła się gromadka żołnierzy w długich, ciemnych burkach z konfederatkami na głowach.

Obsiadła wiara łąwy i niebawem buchnął z nich beztroski, żołnierski gwar, miodem i winem zaprawny, sam, jak dobre, stare wino upajający. Zapomniano o bożym świecie, w kąć poszły uczone dyskursy, zeszłą popłynęły wspomnienia.

— Pamiętasz ty, Jóźku, tę kanapę pod Smoleńskiem w dwudziestym roku? Jak mi Bóg miły, panowie, żebym bym tam nie był i na własne oczy tego nie oglądał, tobym nigdy nikomu nie uwierzył. Siedzimy sobie u popa na obiedzie; dokoła cicho, spokojnie, gawęda w najlepsze. Izba przestrona, dwa okna naprzestrzał. Po jednej stronie stołu ja i Wicek Targowski, ten, co potem pod Lipskiem (świeć Panie nad jego duszą), po drugiej stronie na wielkiej, wysiedzianej popowskiej kanapie, Janek Wolski. (Ot ten, co tam stoi i z tym pułkownikiem rozmawia). Obiad się skończył, a my sobie gadu, gadu, bo służby żaden z nas nie miał. Ciepło — okna pootwierane. No, i co powiecie? Raptem jak ci jakisi zabłąkany granat nie wyrznie w chałupę przez okno



PIOTR WYSOCKI.

do izby prosto pod Jankową kanapę. Coś mu się tam musiało popsuć we wnętrzu, bo go nie rozwaliło odrazu, tylko syczał i dopiero po dobrej chwili wybuchnął i to tak jakoś przez pół, nie całkiem, jakby mu się nie chciało. Żeby mu się chciało jak się patrzy wybuchnąć, toby wam tu dziś kto inny co innego opowiadał, a tak, to nas z Wickiem jeno poprzewracało, a Janka z kanapą rzuciło w to drugie okno, co było naprzeciwno. Kanapa, że to była zaduża, zatrzymała się na ramie okiennej, a Janek, Boże miłosierny, wyleciał z okna, jak z procy, i utknął nosem w kaluży. Tylko mu zrazu nogi było widać; cud, że go błotem nie zalepiło. Gorzej nas boki od śmiechu bolały, jak od tego granatu.

Zaś w innym kącie ksiądz Robak Bernardyn, zapomniawszy o świętej teologii, jał się spierać z księdzem Jaskólskim, słynnym zbaraszczykiem, o to, co lepsze: muszkiet, czy karabin.

— Ojciec dobrodzieju kochany, a i gdzież można nawet muszkiet z karabinem równać? Spróbujcie jeno strzelić do psa z muszkietu na sto kroków, czyli się wam obejrzy po strzale, albo choć ogonem machnie. Nawet nie będzie wiedział, że ktoś do niego strzelał. A z karabina i na 150 kroków psa ustrzeli. I nietylko psa — dodał zcicha.

— Jać nie mówię — zaperzył się zbaraszczyk, — że te wasze nowomodne karabiny może i dalej niosą, ale cóż, kiedy one żołnierzowi obce? Za moich czasów żołnierz muszkietu nie kupował, jeno go miał z dziada pradziada, to się tak z nim zrósł, jak z bratem rodzonym, że ich na wojnie nic od siebie rozdzielić nie mogło, chyba sama śmierć. To się tak poznali wzajem, tak dopasowali, że choć to może i dziwno rzec, ale co jeden popsował, to drugi naprawił. A dziś co? Człek swoje, karabin swoje, ani się znają ze sobą, ani do siebie lgną. Już tam niech kto, co chce mówi, ale ja karabina, póki żyję, w rękę nie wezmę.

Przysłuchiwał się tej rozmowie od chwil kilku Pował z Taczewa, rycerz sławny, który jeszcze z królem Władysławem Jagiełłą na Krzyżaki chadzał. Przyszedł późno na biesiadę, wolnej ławy dla siebie szukał, chętnie się też do księży przysiadł, gdy mu miejsce pośród siebie dali. Stary wojak pobłażliwie na broń palną spozierał, mieczowi więcej, toporom, a zbrojom dowierzając.

— Moi ichmoście dobrodzieje miłościwi, czy to uchodzi w waszym duchownym stanie o takie rzeczy się spierać? Nasza to, żołnierska sprawa. A zresztą, muszkiet czy karabin, na jedno wychodzi, ja się tam na tem nie rozumiem. Mieli pod Grunwaldem Krzyżaki jakieś tam armaty i siła im to pomogło? Ledwie, że strzelić z nich zdążyli.

Nagle ruch się jakiś wszczął w końcu stołów i zagłuszył dalsze słowa Powwały. Głos czyjś krzyknął donośnie.

— Mości Panowie! Baczność! Książę Wódz Naczelny!

Gwar ucichł nagle, wszyscy zerwali się z miejsc. Środkiem cizby posuwał się zwolna Książę Józef Poniatowski, witając lekkim skinieniem głowy sprężone, salutujące postacie rycerzy. Z pod wysokiej, ullańskiej czapki, wymykały się czarne, gęsto już siwizną przyprószone kosmyki włosów; generalski mundur kapał srebrem szamerunków; z całej postaci biła krasa, dostojność i siła. Krok w krok za nim posuwało się dwóch smukłych i zgrabnych, jak malowanie, adjutantów,



KSIĄDZ ROBAK I PRZEOR KORDECKI.

Ksiądz doszedł do miejsca, które zwykle przy stole zajmował, zdjął czapkę ułańską, poczem, zwróciwszy się do zebranych, odezwał się miłym, jak stal dźwięcznym i jak stal giętkim i hartownym głosem:

— Siadajcie, Panowie. U siebie jesteśmy w rodzinie, w miłej, polskiej, żołnierskiej rodzinie. Rozkaz nam ojcem, komenda matką, szabla żoną, a kula macochą. A my sami trochę, jak dzieci, płocze, wesołe, co, jak motyle, z dnia na dzień żyją, byle czem się cieszą, byle razem, byle w kompanji, a zacnej. Nie pamięta żołnierz wczorajszego obiadu, ni wczorajszego noclegu, jeśli się o co troszczy, to o dziś. Wczoraj? Co tam wczoraj! Było, już się nie wróci. Jedno żołnierz jeno z wczorajszego dnia dobrze pamięta, to tych, co odeszli. Tych, z którymi jeszcze wczoraj na biwaku kaszę łyżką z jednego kociołka wybierał, a których wieczorem po bitwie, czy choćby potyczce, przy apelu zabrakło. Tych żołnierz pamięta aż do chwili, kiedy sam od kuli-macochy na polu legnie i kiedy o nim z kolei pamiętać zaczną. Mości Panowie, wiem ja dobrze, że nie potośmy się tu zesзли, żeby płakać, bo żołnierz do łez nie stworzony, ale sądzę być rzeczą przyzwoitą, byśmy choć chwilę małą poświęcili tym kolegom, którzy byli, a których tu dziś z nami niema. Oddajmy im to, co żołnierz zawsze oddać może: mocne i proste, choć dalekie żołnierskie pozdrowienie... Bacność!

Sprężyło się na chwilę znów wszystko i zamarło w głuchej, niczem niezmaconej, ciszy.

— Spocznij!

Lekki hałas, chwila krzątania przy siadaniu i znowu cisza.

Dokończenie nastąpi.

9)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

Ale wreszcie duża pauza nadeszła. Pani otworzyła kopertę. W klasie uczyniło się cichutko.

„Z przyjemnością służę drogiej pani katalogiem. Od paru dni mamy u siebie radjo”...

Po wszystkich ławkach przemknęło drzenie.

„Działa doskonale. Codziennie wysłuchujemy koncertów z różnych miast Europy. Może droga pani zechciałaby przyjść do nas w niedzielę na godzinę trzecią z całą swoją gromadą szkolną”...

— Ojej!... Jezusieńku!...

„Pragniemy zrobić dzieciakom uciechę i zapoznać je z tym genialnym wynalazkiem. Sądzę, że nam pani nie odmówi? Prosimy bardzo ze wszystkimi dziećmi”.

Gwałtu rety! Koniec świata!

Mańka rzuca się na szyję Julce i krzyczy:

— I ja pójdę! I ja!

Brygida z Marynką ściskają się, że się o mało co nie poduszają! Julka, Andzia i Zosia chwytają się za ramiona i skaczą na miejscu! Teofila hyc — hyc — hyc... na jednej nodze. Franek maszeruje piętami do góry. Kazik skrzczy, jak stado młodych srok. Wojtek, Wicek i Jacek kulakują się zawzięcie. Feliś piszczy, jak przyduszona mysz. Kazia i Piotrus bębni pięściami po ławce, a piętami po podłodze. Marek coś do całej klasy gada, ale go nikt nie słucha, a Broniek wrzeszczy, jak opętaniec:

— Ojej, proszę pani! Proszę pani, to radjo to się pewnie do niedzieli zepsuje! Ojej... i nic nie będzie!

A potem cała fala dzieciaków runęła na panią. Okręcili ją ciaśniutko wężem i nuż się kręcić po klasie.

Mig... warkocz! Mig... spódnica! Mig... gołe pięty! Mig... chustka! Mig... mig... mig!...

— Już dosyć! Już dosyć! Cały pokój kołuje się ze mną! Już stańcie!

IX.

Nie mogły dzieciaki doczekać się tej niedzieli.

Wicek we środę zdarł dwie kartki z kalendarza, żeby było prędeż, ale to nic nie pomogło — i tak po środzie przyszedł czwartek, a nie piątek.

Kazik codzień wlaził na drzewa i patrzył, czy się aby w Makowie — broń Boże — nie pali, bo jakby się paliło, to mogłaby się spalić i apteka i nicby w niedzielę nie było.

Raz to nawet Kazik narobił okrutnego hałasu:

— Pali się! Wszystko się spali!



Koniec świata!...

Zleciały się dzieciaki; Zośka uderzyła w bek, tylko Kasia wcale się nie przejęła.

— O-wa! Pewnie chłopczyska w polu pieką ziemniaki!

I miała rację. To pastuszkowie rozniecili ogień na ugorze.

Wreszcie nadeszła niedziela. Zimno było, pochmurno, ale deszcz nie padał.

W każdej chałupie aż wrzało. Wszędzie dzieciaki pomagały obiad gotować, aby się tylko nie spóźnić.

O pierwszej już zebrali się przed szkołą. Pani kazała zabrać z klasy trzy doniczki z najpiękniejszymi fuksjami — to dla dobrej pani aptekarzewej w prezencie od dzieci.

Ruszyli. W drodze było różnie. Wiecek z Jankiem pobili się. Brygida się obraziła i chciała się zawrócić, ale nie zawróciła. Andzia z Julką, jak sobie zaczęły fuksję wrywać, która ma nieść, to zbiły doniczkę i potem już beczwały aż do samego Makowa.

Teofila szła ciągle z zadartą głową i wypatrywała, czy nie zobaczy tych melodyj, które z różnych stron świata lecą do pani aptekarzewej do Makowa.

Raz nawet krzyk podniosła:

— Ojej!.. Leci-ci-ci... leci takie ccoś od południa, pepewnie z Rzymu!

A to były paździoiry lniane z Cichej Wólki.

Próżno Marek jej tłumaczył, że tego nie widać, bo to jest drganie eteru. Teofila wciąż szła z zadartą głową — aż wpadła na krzak jeżynowy i rozdarła pończochę.

Biedna pani musiała i pocieszać, i godzić, i gniewać się, i ciągle odpowiadać na pytania, bo wszystkie dzieci chciały odrazu wszystko wiedzieć o radio.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wiedząc, że w rocznicę powstania 31-go roku, w d. 29 listopada, urządzacie w szkołach obchody, podajemy Wam poniżej projekt urządzania odpowiedniej na ten dzień uroczystości.

„Powstanie listopadowe”.

opracowała Julja Duszyńska.

CZĘŚĆ I.

Z poza kurtyny, przy dalekiem biciu dzwonów słyhać zbiorowy śpiew:
„Boże Ojczy, Twoje dzieci płaczą, żebrzą lepszej doli. Rok po roku marnie leci,
my w niewoli, my w niewoli!”

„Pod Belwederem”.

Kurtyna się rozsuwa. Wieczór listopadowy. W zmroku widać nagie gałęzie drzew jako tło. Chwilami wiatr gwizdże posępnie. Wchodzi STARZEC w czamarze, na lasce się opiera. WNUCZKA pod ramię go wiedzie.

WNUCZKA.

Przyszliśmy, dziaduniu. Ale ława przewilgła, niech dziadunio lepiej nie siada. I mroczy się...

STARZEC.

Jak w listopadzie... Zwykła rzecz...
(Po chwili). Widzisz co?

WNUCZKA.

Okna pałacu świecą zdaleka przez gałęzie.

STARZEC.

Stoi pałac?

WNUCZKA.

Stoi.

STARZEC.

I okna się świecą... Oj, zaświeciłbym ci, zbójcu, jeno szablą w oczy, po staropolsku! Cóż, biednym już niedołęga... niedołęga...

WNUCZKA.

Dziaduniu! Obiecał mi dziadunio, że jak duża urosnę, to się dowiem, czemu dziadunio tak często tu przychodzi i tak dziwnie o ten pałac pyta, czy stoi. Dziś 29-ty, skończyłam 10 lat... Takbym chciała wiedzieć...

STARZEC (oburkliwie):

Bodajby się już zapadł pod ziemię, bo czas! Wiesz teraz?

WNUCZKA (trwoźnie):

Tak dziadunio głośno krzyczy... Jeszcze kto posłysz.

STARZEC.

Może... Teraz przecież za każdym prawym Polakiem ze 3 szpiegów łazi.

GŁOS SZYLDWACHA

(daleko):

Stoj! Kto idiot?!

STARZEC.

Słyszysz? Na polskiej ziemi przy pałacu namiestnika warta woła po moskiewsku! A przecież tak niedawno ta ziemia była wolna! swoja! Jam się wolny urodził, a teraz umrę carskim niewolnikiem! Belweder! Belweder! Zbój w nim siedzi, carski brat, wielki książę Konstanty... Twojego ojca morderca siedzi tam, dziewczynko, i pewnie w karty gra!

WNUCZKA.

Ojca?

STARZEC

(podnosząc ręce w uniesieniu):

Boże Wielki, Wszzechmogący, Sprawiedliwy! Ja, stary ślepy Polak, com za tę ziemię nie raz krew przelał, com za Nią 4 synów postradał w boju, a piątego w kaźni, na starość z Ojcowizny wzytu przez wroga, nie o swoje krzywdy, nie o swoją mękę wolałam! Cała ta ziemia polska w moskiewskiej obroży o ratunek krzyczy!
(Zrywa się wiatr silniejszy. Niesie jakby ludzkie skargi i wołania: Oo! oohej! och!...)

WNUCZKA (tuląc się):

Dziadziu! Boję się!... Ten wicher tak jakoś wyje...

STARZEC.

Cichaj.

GŁOSY W ODDALI.

Ooo! ooo! ooo!

WNUCZKA.

Có to?!

STARZEC (*uroczyście*):

Polska się skarży.

GŁOS KOBIECY W ODDALI.

Syna miałam, jedynaka! Szczęście wdowy, podpora starości... oh! Za polskie serce, za śmiałość Polaka porwały go katy moskiewskie... W więzieniu przez długie tygodnie... głodem morzyli... bili knutami! Przez mury więzienne, grube mury słyszałam krzyk mego syna i serce mi pękło — matce nieszczęśliwej. Oooo!...

GŁOSY ZMIESZANE.

W więzieniach synowie nasi... w lochach ojcowie...

GŁOS KOBIECY.

Wnuka mego, pacholę jeszcze w łańcuchach na zesłanie wywieźli!...

GŁOSY KOBIECE.

I mego syna!... I moich!... i mego... i mego.

GŁOS JEDEN.

Moje dziecko, już konające, rzucili do kibitki i pognali precz!...

STARZEC (*szeptem*):

Boże Sprawiedliwy! Boże Wszehmogący!

GŁOS Z PRAWEJ.

Wielki książę meża mego, polskiego oficera w twarz uderzył przed frontem, wobec całego pułku — za błahostkę... Oh! zastrzelił się mąż mój — shańbiony...

GŁOS Z LEWEJ.

I mój!...

GŁOSY W POWIETRZU.

Kościół wydać nie chciałem Moskalom. Wymordowali nas kozaki w kościele z kobietami i dziećmi... Wymordowali na ołtarzach Pańskich!...

(*Nowy, silny poryw wiatru.*)

STARZEC.

Czy słyszysz, Boże? Za krew, za łzy, za hańbę naszych Ołtarzy — kiedyż wybijie godzina sprawiedliwości?!

(*Stychać daleko zegar, bijący 7-mą.*)

Dalszy ciąg nastąpi.



ST. MASŁOWSKI: PRZY OGNISKU.

Stanisław Masłowski ur. 1853 r. — zm. 31 maja 1826 roku. Początkowej nauki rysunków udzielał mu światły i ceniony nauczyciel gimnazjalny w Kaliszu, prof. Barcikowski. Dalsze studia artysta odbywał w Warszawskiej Szkole Rysunkowej pod kierunkiem prof. Wojciecha Gersona.

Zainteresowanie Kozączyzną i Ukrainą, objawiające się od bardzo wczesnej młodości, ma jako rezultat parokrotne wyjazdy na nasze Kresy Wschodnie, gdzie powstaje szereg obrazów i szkiców.

Artysta wyjeżdża zagranicę wielokrotnie i na dłuższy pobyt. Mimo licznych wędrowek — z rodzimego krajobrazu i rodzimego życia przede wszystkim czerpał tematy do swych prac, interesując się najbardziej polską wsią i ludem polskim.

Pracował do końca, w ostatnich nawet chwilach życia nie wypuszczając pendzla z ręki. Zostawił liczne prace olejne, akwarelowe i rysunkowe.

Załączony obrazek: „Przy ognisku” — przedstawia właśnie scenę z życia na wsi — pastuszków na tle jesiennego krajobrazu, jak palą ognisko i pieką ziemniaki.

Kopanie kartofli.

*Na szarem polu, wśród kartofliska
pstrzą się chusteczki żółte,
czerwone.*

*Kopać kartofle przyszli ludziska.
Kobiety stoją rzędem schylone.
Zwinnie migają w rękach motyki,
tylko o kamień szczękną czasami.*

*Stoją ziemniaków pełne koszyki,
a dorzucają je wciąż garściami.
Gruchot ziemniaków, ciche*

*pogwary,
niekiedy okrzyk ciszę przerywa...
Od ziemi zimne płyną opary,
czasem blask słońca chmurę
przeszywa...*

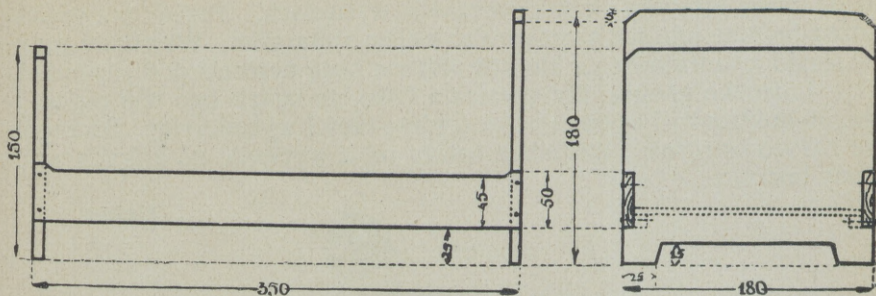
ALINA KWIECIŃSKA.

Ze sportu.



Choć już zimno dobrze dokuczają, gimnastyka w naszej szkole, w Mińsku Mazowieckim, odbywa się jeszcze na świeżym powietrzu.

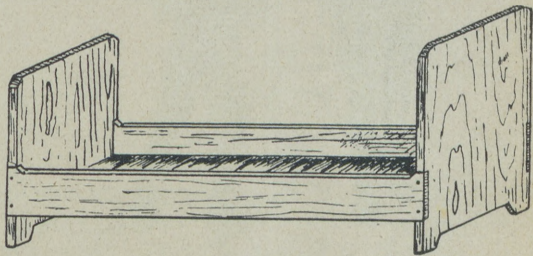
Łóżecko dla „Płomyczanki”.



ŁÓŻECZKO WZDŁUŻ I WPOPZEK.

W numerze 2-im „Płomyka” był podany opis zrobienia lalki „Płomyczanki”. Zrobiły to dziewczęta. A co chłopcy? Ci pomyślą o wykonaniu łóżecka, ażeby Płomyczanka miała gdzie spać.

Do zrobienia łóżecka potrzebna będzie deseczka olchowa lub jaworowa, albo też klejotka, t. zw. dykta. Grubość deseczki od 6—8 mm. Po narysowaniu na deseczce ołówkiem poszczególnych części łóżecka, a więc przedniej i tylnej ściany oraz obu bocznic (wymiary podane na rysunku), przystąpimy do wycinania tych części. Przy rysowaniu należy zwrócić uwagę na to, ażeby części poszczególne były od siebie nieco odsunięte (5—10 mm.), w tym celu, ażeby po wycięciu ich pozostało jeszcze trochę miejsca na wyrównanie krawędzi. Deseczkę można porznąć piłą rozplątnicą lub ramową o drobnych zębach, lub piłeczką ręczną, t. zw. laubzegą, o zębach największych. Przy równaniu krawędzi można sobie pracę skrócić, zbijając dwie jednakowe części dwoma gwoździczkami razem i równocześnie obie wyrównując. Po należytem uformowaniu części składowych łóżecka, należy wszystko dokładnie oczyścić i utrwalić. Tu musimy się zastanowić nad tem, jakiego koloru będą meble „Płomyczanki” (potem wykonamy ich więcej): jasnego, czy ciemnego? Jeżeli meble mają pozostać jasne, wystarczy oczyszczone części pociągnąć olejem lub pokostem, a potem zapoliturować, albo też natrzeć woskową zaprawą. Jeżeli meble mają być ciemne, należy je przed politurowaniem zabarwić bejcą stolarską orzechową lub mahoniową (bejcę w grudkach nabyć można w handlu za parę groszy, rozpuścić w ciepłej wodzie).



WYKONCZONE ŁÓŻECZKO.

Po zabarwieniu i zapoliturowaniu wszystkich części łóżeczka, przystąpimy do zbijania ich gwoździkami w całość. Bocznicę będą wpuszczoną do ścian łóżeczka w odpowiednich wycięciach. Przed przybiciem można łączone miejsca nasmarować klejem stolarskim. Wewnątrz przybić słupki kwadratowe, na których ułożone będą deseczki pod sienniczek.

Łóżeczko gotowe, przypominam tylko, że będzie ono tem piękniejsze, im dokładniej i czyściej poszczególne części wykończymy. Szczególnie bardzo ostrożnie i dokładnie należy robić wycięcia, do których wpuszczymy bocznicę.

I. Huber.

Pestki.



Ze szkoły powracali Franio i Arturek
zadowoleni, weseli...
Kilka pomarańczy mieli,
więc na chodnik rzucali moc pestek i skórek.

Aż raptem słyszają jakieś przekleństwa i krzyki.
Spojrzą chłopcy... A tam w dali



ktos z nóg na ziemię się wali,
wołając: „Cóż to znowu za obyczaj dziki!”

Dognał chłopców policjant: „Patrzcie, wszak są kosze.
Służą na wszelakie śmiecie.
Jeść pomarańcze możecie,
ale skórki i pestki tutaj rzucać proszę”.

B. HERTZ.

Wierszyk ten przedrukowaliśmy z książeczki pod tytułem „Przyjacieli dzieci”, napisanej przez p. B. Hertza, w której autor wierszykami opowiada o tym, jak to policjant polski opiekuje się dziećmi podczas ich pobytu na ulicy.

Złote szyby.

Jurek mieszkał w ślicznym, białym domku, otoczonym kwiatami. Były tam wysokie malwy, barwne astry i aksamitne bratki, pachniała rzezeda i cudne róże, kwitły złociste georginie i gwoździki.

Domek cały zdawał się tonąć w kwieciu. Stał, zdala widoczny, na zielonem wzgórzu i cieszył oczy każdego przechodnia.

Zdawało się, że tylko ludzie szczęśliwi mogą zamieszkiwać podobny domek — i tak też było w istocie.

Jurek miał kochających rodziców i sam wzrastał pod ich troskliwym okiem na dzielnego i dobrego chłopca. Czasem tylko, o zachodzie słońca, gdy zmęczony całodzienną pracą, siedział na ławeczce i wpatrywał się we wspaniałą zamek, stojący na szczycie przeciwległej góry, ogarniał go jakiś niewytłumaczony smutek i żal.

Pewnego wieczoru spostrzegł, że w owym zamku są szyby ze złota i odtąd zaczął tęsknić, by je móc zbliżka obejrzeć.

Rodzice spostrzegli ze smutkiem zmianę usposobienia jedynaka, ale że zbliżał się dzień urodzin Jurka, dzień obchodzony zwykle uroczystością i wesoło, więc mieli nadzieję, że to minie.

Ale jakież było ich zdziwienie, gdy w przeddzień Jurek rzekł nieśmiało:

— Pozwólcie mi się jutro z domu oddalić i odbyć wycieczkę, na którą oddawna mam ochotę.

Niechętną była prośba ta dla rodziców, oto pierwszy raz w życiu jedynak ich chciał spędzić swój dzień urodzin zdala od nich!..

Ale nie dali tego poznać po sobie i przystali na jego życzenie.

Nazajutrz, ze wschodem słońca Jurek wybrał się w podróż... Choć zamek widać było, jak na dłoni, droga była doń daleka i uciążliwa. Zbiegł szybko z rodzimego wzgórza, przebrnął przez strumyk, raniąc boleśnie nogi o ostre kamyki, ale niezrażony tem zaczął się wspinać stromą ścieżką w górę.

Szczyt zielonego wzgórza był coraz bliżej. Jeszcze parę chwil, jeszcze chwila, a ujrzy to, o czem tak dawno marzył!..

Niepomny zmęczenia, pobiegł co tchu, lecz jakież było jego zdziwienie, jaka rozpacz, gdy zobaczył zbliżka to, co tak wspaniale przedstawiało się zdaleka...

Zamek był starą, brudną, obdrapaną, oplecioną pajęczyną ruderą, pełną gnieźdzących się sów i nietoperzy!

A okna — owe upragnione okna ze złotymi szybami?..

Nie było ich wcale: tu i owdzie widniały nadbite szyby ze zwykłego, grubego szkła — szare i zakurzone!

Jurek rzucił się na ziemię i gorzko zapłakał. Łzy kapały mu, jak groch, czuł się strasznie nieszczęśliwy i opuszczony, żal mu było zmarnowanego dnia!

Wtem poczuł małą rączkę na swem ramieniu i dziewczęcy głosik zapytał ze współczuciem:

— Powiedz, czemu tak płaczesz?

— Przeszedłem z bardzo daleka, żeby zobaczyć złote szyby w oknach i tak straszne spotkało mnie rozczarowanie — odpowiedział przezywany głosem.

— Chcesz widzieć złote szyby? — zawołała wesoło dziewczynka, — chodź prędko, zaraz ci je pokażę! — I, biorąc Jurka za rękę, zaprowadziła go na wieżę zamkową, skąd rozpościerał się widok na zielone wzgórza z białym domkiem, otoczonym kwiatami.

W tej chwili zachodziło słońce i w glori jego ostatnich promieni zdawało się, że szyby w oknach są szczerozłote.

— Widzisz? — rzekła poważnie dziewczynka — to najcudniejszy domek na świecie, i on jeden, jedyny ma szyby ze złota.

Jurek potwierdził skinieniem głowy, a w duszy jego nagle wezbrała radosna świadomość, że szczęście, którego szukał daleko i nie znalazł, jest przecie blisko, bardzo blisko, w jego własnym, rodzinnym, białym domku, tylko je trzeba umieć widzieć.

Halina Dernałowiczówna.

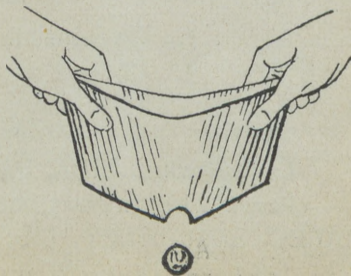
Zbliska i zdaleka

SERCE KOŚCIUSZKI. W 110-tą rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki zostało przywiezione do stolicy Polski Jego serce, które dotychczas spoczywało w Muzeum Polskiem w Rapperswilu, w Szwajcarii. Do granicy Polski szkatułkę z sercem przywiozło 2 oficerów szwajcarskich, do Warszawy asystowała szkatułce delegacja armji polskiej. Szkatułka spoczęła narazie w specjalnej urnie przed ołtarzem w kaplicy zamkowej.

POMNIK KOŚCIUSZKI W BOSTONIE. W Bostonie odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki, dłuta rzeźbiarki Kittson. W uroczystości brało udział 50.000 Polaków, odbyła się defilada 10.000 dzieci polskich i Sokołów z 67 orkiestrami i 200 sztandarami. W uroczystości brali też udział przedstawiciele władz i armji Stanów Zjednoczonych.

SZTUCZKA Z PIENIĄDZEM.

Na środku kawałka papieru (kartecze z zeszytu) położyć monetę dwa grosze, obrysować ją i wyciąć dziurkę tej wielkości. Przez otwór ten przejdzie łatwo moneta 5-cio, 20-to groszowa, a nawet 1 złoty. Jeśli złożymy papier na pół wzdłuż średnicy wykroju i końce jego będziemy obiema rękami zbliżać ku sobie, otwór na tyle się rozszerzy, że większa moneta może przejść bez rozdarcia papieru.



CO BĘDZIE DLA WAS W „RADJO”?

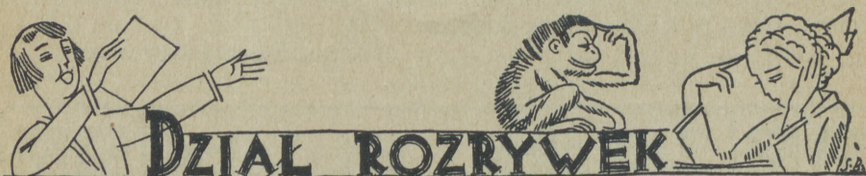
Dnia 2 listopada, w środę (17.45—18.15), program dla dzieci: „Co Kurta robił w podwórzu” M. Konopnickiej oraz bajeczki — wypowie p. H. Ładosz.

Dnia 5 listopada, w sobotę (17.45—18.15), program dla młodzieży: p. Kołodziejczyk wygłosi pogadankę p. t. „Nad naszym morzem”. Godz. 18.15—19.00, fragment z „Dziadów” Mickiewicza (Część II, scena w kaplicy) z ilustracją muzyczną, zaczerpniętą z op. „Widma” Moniuszki.

Dnia 7 listopada, w poniedziałek (17.45—18.15), program dla młodzieży: p. Zofja Szadebergowa wypowie pogadankę historyczną p. t. „Krzyżacy i Litwini”.

Dnia 9 listopada, w środę (17.45—18.15), program dla dzieci: p. Wanda Tatarkiewiczówna opowie dalszy ciąg „Przygód Maciusia” (J. Porazińskiej).

Dnia 12 listopada, w sobotę (17.45—19.00), program dla najmłodszych: audycja zespołowa p. t. „Bajka o grzecznej Kazi, misiu i porcelanowej laleczce” (B. Hertz i Wandy Tatarkiewiczówny) oraz piosenki, bajeczki i koncert orkiestry Polskiego Radja.



ŁAMIGŁÓWKA WĘŻOWA.

Nadesłała Nina Falewiczówna.

6				5
	3		2	
		1		
	4			
7				

7 wyrazów wpisać w kratki w ten sposób, żeby litery początkowe lub końcowe łączyły się z wyrazami sąsiednimi.

Wyrazy poziome (od lewej strony ku prawej)
 1) przyimek, 3) stworzenie wodne, 4) część szkieletu, 6) tytuł powieści Sienkiewicza, 7) zwierzę domowe. Wyrazy pionowe: 2) nazwa jednej z liter alfabetu polskiego, 3) in. jednorazowo, 5) warzywo (liczba mnoga), 6) część ciała ludzkiego.

P Y T A N I A.

Nadesłał Staś Wizdowski.

1. Co widzicie zaraz po filmie?
2. Co jest między młotem a kowadłem?

ROZWIĄZANIA z Nr. 6.

Łamigłównki: LIPA, PAKA, KARA, RATA, TAMA, MAKI.

Krzyżówki: wyrazy poziome: OKO, PSY, OBOK, PAKA, KORAL, MALEC, SZAL, CEPY, LIS, JAN; wyrazy pionowe: PALEC, MAKI, KOT, OSA, KROK, KOWAL, STAL, CENA, BAT, RYK.

DO HELI FILIPOWICZÓWNY, JANKI NOWACKIEJ, JADWIGI GORKÓWNY, HELI MICHALCZUKÓWNY, GENI GRAJEWSKIEJ, JADZY FALKOWSKIEJ, STASI GRUDZIAŁÓWNY, HANI PRAWDÓWNY, ANIELCI LIPSKIEJ, JANKA MARCINIAKA, STEFKA STOKOWSKIEGO, STEFKA SMOLIŃSKIEGO, STASIA SENDERA, STEFKA BIAŁEGO, J. DMOCHOWSKIEGO, Z. SAMPLAWSKIEGO, M. MICHAŁKA I H. GŁĘBOCKIEGO W CZYŻEWIE. Miło nam odbierać od Was listy: są zawsze tak starannie, czysto napisane, poprawnie i ciekawie. Niestety, od dłuższego czasu jakoś nic do nas nie napisaliście. A przecież napewno macie o czym: uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego, robiliście pewnie wycieczki botaniczne (tak lubicie botanikę, pielęgnując swój ogródek, uważany przez Was za książkę do nauki botaniki). Czekamy więc od Was długiego ciekawego listu.

DO ANIELI BUCHÓWNY I JÓZI MROZINKÓWNY W RUDZIENCU. Jakże z Waszym projektem zasilenia Waszej kasy, nad którym miałyście się jeszcze dobrze zastanowić i dopiero o nim do nas napisać?

DO MARJANA PRUSKIEGO W CZERMINIE. Czy nadal tak lubisz „Płomyk”, jak dawniej, jak to nam napisałeś w swym pierwszym liście?

DO JANINKI KOREWÓWNY W RYPINIE. Jak udaje Ci się obecnie rozwiązywanie łamigłówek z „Działu rozrywk”??

DO JANUSI WYSOCZAŃSKIEJ W SAMBORZE. Jak spędziłaś wakacje? Napisz jeszcze do nas.

DO STEFKA MORAWSKIEGO W ŁODZI. Badania archeologiczne w Polsce nie są zbyt dawne. Na zabytki, które ziemia ukrywa, zwrócił u nas pierwszy uwagę Hugo Kołłątaj w r. 1802. „Ojcem” polskiej archeologii, a więc pierwszym archeologiem naszym był Adam Czarnocki, znany pod pseudonimem Zorjana Dołęgi Chodakowskiego. Dzięki jego pracy rozpoczęto sumienne i naukowe badania na ziemiach Polski kurhanów, horodyszczy, ruin zamków i kościołów, nagrobków. Zaczęto też tworzyć zbiory wykopalisk, opisywać je, odrysowywać i fotografować.

DO WANDZI IWANOWSKIEJ W WARSZAWIE. Czekalaś, Wandziu, długo na odpowiedź „Płomyka”, ale się wreszcie doczekałaś. Czy prędko sama napiszesz do nas list — choćby bardzo króciutki?

DO IRCI KWIATKOWSKIEJ W KOŚCIERZYNIE. Twoja cierpliwość była wystawiona na wielką próbę: pewnie już zwątpiłaś w otrzymanie odpowiedzi na swój staranny, ciekawy listek. Ale pewnie nie gniewasz się i zaraz do nas napiszesz drugi, a „Płomyk” postara się odpowiedzieć Ci szybciej, niż tym razem.

DO JERZEGO JONASIKA W ŁASKU. Dziękujemy Ci za widokówki, które nam przysłałeś. Kościół, którego zdjęcie nam przysłałeś, to pewnie ten, który był zbudowany w r. 1366 przez Jarosława ze Skotnik, arcybiskupa gnieźnieńskiego, a który uległ zniszczeniu w r. 1747 z powodu pożaru i nie został już potem tak pięknie odbudowany. Podobno w tym kościele jest bogaty skarbiec. Czy interesowałaś się tym?

DO JADZI JARCZYŃSKIEJ W RADOMIU. Już bardzo dawno do nas nie pisałaś. Może przypomnisz sobie swego przyjaciela i przyślesz mu choć parę słów wiadomości o sobie i swych koleżankach.

DO MIKOŁAJA DZIUBANOWSKIEGO W JANKOWCACH. Nie otrzymaliśmy dotychczas od Ciebie obiecanego listu, w którym miałeś nam opisać, jak robiliście obrazy z obrazków w „Płomyku”, jak doszliście do biblioteczeki, posiadającej 100 książek, choć Wasza szkoła jest tylko jednoklasowa, a Wasi rodzice niezamożni, gdyż zniszczyła ich wojna. Przypominamy Ci tę obietnicę i oczekujemy na list.

DO R. LUBCZAŃSKIEJ. Dlaczego w swym wierszyku piszesz: „jak palmy fiołek”? Co ma wspólnego palma z fiołkiem? Zanim się coś napisze, trzeba pomyśleć, aby nie napisać czegoś, co nie posiada żadnego znaczenia.

DO WŁADYSŁAWA RAJECKIEGO I PAWŁA SIPLEWICZA W NIECHNIEWICACH. Adres p. Heleny Zakrzewskiej, autorki „Płomienia na śniegu”: Kraków, Gołębia 13. Czy odegracie „Powstanie listopadowe”? Swego czasu prosiliście o historyczny obrazek sceniczny: może więc skorzystacie z tego.

DO JANKA WYDERSKIEGO W KAMIENNEJ WOLI. Na kopercie, w której przesłałeś nam swoje rebusy, napisałeś „Druk”. Wtedy tylko taki napis umieszcza się na kopercie i przylepia znaczek pocztowy za 5 groszy, kiedy się wysyła już coś wydrukowanego, a nie przeznaczzonego tylko do druku. Przymem koperty się nie zalepia, by na poczcie mogli sprawdzić, czy istotnie koperta zawiera druki.

DO A. SOCHACZEWSKIEJ W ŁODZI. Wierszyk Twój p. t. „O niezawodnym przyjacielem”, ma ładną myśl, ale formę bardzo nieudolną. Nie taka to łatwa sprawa z pisaniem wierszy: nad tem trzeba wiele pracować, wiele uczyć się i wiele czytać.

DO CESI SZNAJDRÓWNY W SANDOMIERZU. Może też nam opisziesz historyjkę w obrazkach z numeru 6 „Płomyka”, którą podaliśmy pod tytułem: „O Filipku, o małpkach i o żabce w kokosowym orzechu”?

DO DZIECI ODDZIAŁU IV SZKOŁY POWSZ. WE WRZĘPI. W konkursie rozrywkowym może brać udział cały oddział: wtedy nie jedno dziecko, a cały oddział przyczyni się do powiększenia szkolnej biblioteczki.

DO JANKA OCHALSKIEGO W KRAKOWIE. Twoja historyjka w obrazkach jest tak niewyraźnie narysowana, że nie możemy dobrze zrozumieć tej, zdaje się, harcerskiej przygody.

DO JAŚKI CHRZANÓWNY W ZDUŃSKIEJ WOLI. Wypracowanie bardzo ciekawe, dobrze napisane, trafnie poparte obserwacjami pogody z przytoczeniem wahań temperatury i ciśnienia.

DO JULCI KORNIKIEJ W ROZBORZU. Napisz nam o swym pobycie w Rosji i na Litwie.

DO M. BASISTY W RYBNIKU. W stosunku do innych części Polski na Górnym Śląsku „Płomyka” rozchodzi się dużo. Sprawdź na mapie, wydrukowanej na okładce Nr. 7. Dziękujemy za bardzo ładne widokówki i prosimy o obiecany obszerny list.

DO KOCIA NEUMANA W WARSZAWIE. A teraz co czytasz z „największą ciekawością”?

DO DZIECI SZKOŁY POWSZECHNEJ W HUCIE RADORYSKIEJ. Dziękujemy Wam za długi, miły list. Czy wiecie, że Okrzeja, to było niegdyś miasteczko, które po zburzeniu przez Szwedów, nie mogło się jakoś podźwignąć? Piszcie jeszcze do nas; może przysłacie nam jaką fotografię z Waszych okolic?

DO JANKI KRAWCZAKÓWNY, CZESI GÓRÓWNY, FELI STALEŻANKI I NATALCI KURUSÓWNY W BORYSOWIE. Miło nam się dowiedzieć, że w Waszej wiosce stanie niezadługo nowy budynek szkolny. Piszecie o tem, że nie macie tylu rozrywek, co mają dzieci w mieście. A nie macie czasem radjo? Już w wielu wsiach są radjoodbiorniki, które łączą mieszkańców oddalonych wiosek nie tylko z miastami we własnym kraju, ale z całym światem. Dobrze, że przynajmniej lubicie czytać „Płomyk” i z niego dowiadujecie się o tem, co się dzieje, jak jest gdzieindziej.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyk” miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.
„Płomyczek” „ 1 zł. — „ „ „ „ 9 zł.
„Płomyk” z „Płomyczkiem” miesięcznie 2 zł. — — „ „ „ „ 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.